



Genetyczne Big Data w prawnej próżni

W potocznym rozumieniu test genetyczny jest jedynie nowoczesną procedurą medyczną lub biologicznym dociekaniem prawdy o pochodzeniu. Z perspektywy współczesnej bioetyki, cyberbezpieczeństwa i prawa jest to jednak przede wszystkim proces pozyskiwania i przetwarzania informacji. I to informacja o charakterze absolutnie wyjątkowym. DNA nie jest bowiem zwykłym „nośnikiem danych” – DNA jest informacją. To bezwzględny, cyfrowy i analogowy zarazem kod życia, niepowtarzalny zapis naszego pochodzenia, aktualnego stanu zdrowia oraz probabilistyczna mapa przyszłości biologicznej. Co kluczowe – jest to jedyny identyfikator osobniczy, którego w żaden sposób nie da się zresetować ani zmienić. Zmiana wykradzonego numeru PESEL, hasła do konta czy dowodu osobistego to kwestia procedury administracyjnej. Nasz profil genomowy pozostaje z nami – oraz z naszymi dziećmi i krewnymi – na zawsze.

Mimo że sekwencjonowanie DNA stało się technologią powszechną, a usługi z zakresu genealogii genetycznej czy profilowania zdrowotnego w modelu *Direct-to-Consumer* (DTC) zalały rynek komercyjny, polski system prawny od dekad udaje, że problem nie istnieje. Polska pozostaje genetyczną „szarą strefą” Europy – jednym z nielicznych krajów Unii Europejskiej, który nie uchwalił kompleksowej ustawy o badaniach genetycznych. Sytuację tę Najwyższa Izba Kontroli bez ogródek nazwała „Dzikim Zachodem”. Powoływanie się na ogólne przepisy RODO czy ustawę o prawach pacjenta jest w tym kontekście naiwnością. Informacja genomowa rozsądza bowiem klasyczne ramy ochrony danych osobowych.

Uniwersalność RODO a specyfika genomu

Dlaczego samo unijne RODO nie wystarcza do ochrony naszych danych genetycznych? Przede wszystkim dlatego, że traktuje je spłaszczająco – jako po prostu kolejną kategorię wrażliwych danych medycznych. Tymczasem informacja z sekwencjonowania DNA posiada cechy, które czynią ją wyzwaniem dla doktryny prawa z kilku powodów. Wysyłając próbkę śliny do komercyjnego laboratorium, ujawniamy warianty genetyczne występujące u naszych rodziców, dzieci czy rodzeństwa. Osoby te nie wyrażały zgody na badanie, często nawet o nim w ogóle nie wiedziały, a mimo to ich prywatność genetyczna została skutecznie naruszona. Zanonimizowane bazy danych genomowych, w zestawieniu z publicznie dostępnymi danymi, pozwalają w znacznym odsetku na bezbłędne odtworzenie tożsamości dawcy i jego krewnych. Stąd właściwy termin: pseudonimizacja. Informacja genomowa stanowi fundament medycyny personalizowanej, ale równocześnie też tzw. *Big Data* – *Big Business*. Prywatne korporacje gromadzą miliony rekordów genomowych połączonych z danymi fenotypowymi, tworząc bezcenne zasoby cyfrowe. Jeszcze nieraz usłyszymy o aferach z tym związanych.

Bolesna lekcja z upadku 23andMe: DNA na licytacji u syndyka

O tym, czym grozi traktowanie danych genetycznych jako zwykłego aktywa rynkowego, świat przekonał się dramatycznie w tym roku. Amerykański gigant genetyki konsumenckiej, kali-

fornijska firma 23andMe – dysponująca 15 milionami rekordów genomowych klientów z całego świata (także z Polski), po serii masowych ataków hakerskich i wyciekach wrażliwych danych (wymierzonych świadomie w konkretne grupy etniczne) – straciła wiarygodność i weszła w procedurę upadłościową.

W rezultacie baza danych zawierająca sekwencje genomowe milionów ludzi stała się elementem masy upadłościowej. Okazało się, że w świetle amerykańskiego prawa upadłościowego baza ta może zostać potraktowana przez syndyka i wierzycieli jak towar na sprzedaż. Wzbudziło to niepokój komisji senackich i kontrwywiadu USA, świadomych, że zgromadzone bazy mogą trafić w ręce podmiotów powiązanych z obcymi mocarstwami (Chiny, Rosja?) i posłużyć np. do uczenia modeli sztucznej inteligencji, szantażowania lub śledzenia obywateli itp.

W Polsce scenariusz ten jest dziś jeszcze bardziej niebezpieczny. W przypadku upadłości podmiotu wykonującego testy DNA na naszym rynku, polscy obywatele nie mają żadnej tarczy prawnej, chroniącej ich unikalne dane biometryczne przed zbyciem dowolnemu podmiotowi trzeciemu.

Postulat środowiska akademickiego: filary regulacji

Problem ten uderza bezpośrednio także w polskie środowisko naukowe. W dobie mizerni finansowej polskie instytucje badawcze i uniwersytety bezrefleksyjnie wysyłają próbki biologiczne do sekwencjonowania do taniach laboratoriów genomowych poza granicami Unii Europejskiej (głównie w Chinach). Odbyna się to za pieniądze z krajowych grantów (NCN, NCBR, ABM, FNP) i bez dostatecznego nadzoru nad tym, co na zagranicznych serwerach dzieje się z surowymi danymi genomowymi obywateli Polski. Jest to ewidentne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego i prywatności genetycznej obywateli.

Jako genetycy medyczni, od 2012 roku przedkładamy kolejnym ekipom rządowym założenia do ustawy genetycznej. Projekty te uporczywie nikną w sejmowych szufladach, w obawie polityków przed wywołaniem niepopularnych sporów światopoglądowych. Uchwalenie tej ustawy nie jest sprawą ideologii – to kwestia ochrony praw podstawowych i polskiej racji stanu.

Nowa regulacja musi zostać oparta na kilku filarach: wyłączenie baz danych genomowych z obrotu majątkowego; kategoryczny zakaz dyskryminacji genetycznej (ubezpieczyciele, pracodawcy); zakaz wydawania pacjentowi niezrozumiałych wyników badań genetycznych bez właściwej interpretacji lekarza specjalisty (obligatoryjne poradnictwo genetyczne); kontrola UODO i stosownych służb nad swobodną wysyłką materiału biologicznego i surowych danych sekwencyjnych poza obszar EOG; uregulowanie statusu prawnego zgody na badanie z uwzględnieniem praw krewnych dawcy.

Nie zatrzymamy postępu biotechnologicznego i medycyny personalizowanej – nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie tego postulował. Musimy jednak pilnie narzucić mu cywilizowane, twarde ramy prawne. Nauka i technologia nie mogą dłużej wyprzedzać prawa w sposób, który wystawia bezbronnych obywateli na żer komercjalizacji ich własnej biologii.

MICHAŁ WITT

Uniwersytet Mazowiecki w Płocku
Collegium Medicum

Zrozumieć dług publiczny

Zwykle dług publiczny nie wzbudza w nas tylu emocji, co podwyżki cen produktów czy usług. Nie zastanawiamy się nad zależnością między szybkością wzrostu długu publicznego, jego wysokością a pobudzeniem inflacji, czyli wpływem na nasze osobiste portfele.

Dług publiczny jest naturalny dla państwa. Rządy powinny tak gospodarować finansami publicznymi, by w okresie dobrej koniunktury uzyskiwać nadwyżki w finansach publicznych lub zmniejszyć zadłużenie – gdy jest znaczące, a w czasie złej koniunktury wykorzystywać uzyskane rezerwy do pobudzania gospodarki. Tak jak w rodzinie, gdy dorośli pracują i zarabiają, to nie muszą pożyczać pieniędzy i jakąś część zarobków oszczędzają. Jednak trudno sobie wyobrazić, by młodzi ludzie, którzy nie odziedziczą mieszkania, mogli kupić go z oszczędności, z pensji za gotówkę – zwykle decydują się na kredyt. Są jednak inne nieprzewidziane sytuacje, gdy okazuje się, że potrzebna jest pożyczka: są to np. choroby czy konieczność dynamicznej inwestycji. Ważne jest wówczas, by pożyczać taką kwotę, którą jest się w stanie spłacić, tak by nie trzeba było po jednej pożyczce brać drugiej, a potem trzeciej. Spirala zadłużenia prowadzi do bankructwa. Gospodarstwa domowe czy biznesy łatwiej bankrutują niż państwa. Ostatnim krajem nowożytnym, który ogłosił bankructwo, była Grecja w poprzedniej dekadzie, teraz na krawędzi jest Wenezuela.

Dług Polski w stosunku do PKB (Produktu Krajowego Brutto) jest umiarkowany. Problem polega na tym, że w szybkim tempie przyrasta. Dynamika tego wzrostu jest taka, że właśnie przekraczamy wartość 55 proc. PKB, co oznacza, że przekroczenie drugiego progu ostrożnościowego zapisanego w ustawie o finansach publicznych. Co więcej, jeśli dług nadal w takim samym tempie będzie rósł, to za dwa, trzy lata może stanowić już ponad 60 proc. PKB.

Co więc zrobimy, gdy przekroczymy 60 proc. długu do PKB? Czy wyobrażamy sobie sytuację, że budżet centralny na rok 2030 będzie zrównoważony, jeśli zakładamy, że w przyszłym roku deficyt wyniesie ponad 282 mld, czyli ponad 7 proc. PKB? Ze względu na zapis Konstytucji byłibyśmy wówczas w dramatycznej sytuacji. Ale czy to znaczy, że kraj i jego gospodarka byłaby w katastrofalnym położeniu? Nie. Wszak jeśli do tego dojdzie, to kolejny raz Konstytucja zostanie pogwałcona i uznać będzie można, że cały porządek normatywny traci fundament, bowiem zrównoważenie budżetu z roku na rok jest niewykonalne. Trzeba mieć tego świadomość.

W przypadku każdego długu, a w szczególności długu publicznego, ważne jest, by nie zwiększał się znacząco szybciej niż dochody. Obecnie wzrost gospodarczy Polski rzędu 3,5 proc. odpowiada naszemu potencjałowi gospodarczemu. To jest dobre, wysokie tempo wzrostu. Ważne, aby je utrzymać. Tym bardziej niepokojące jest jednak to, jak szybko rośnie dług państwa. Dynamika długu jest znacznie wyższa niż dynamika wzrostu PKB. A to ze względu na coraz wyższy deficyt budżetowy. Wzrost gospodarczy finansujemy zatem w znaczącym stopniu szybko rosnącym długiem. Tego nie da się długo utrzymać.

W takiej sytuacji państwo powinno dążyć do równoważenia finansów publicznych, czyli do zbliżenia kwot wydatków do dochodów. Takie działania nazywa się konsolidacją, która polega na wdrożeniu pakietu działań, prowadzących konsekwentnie i stopniowo do tego zasadniczego celu, czyli naprawy finansów publicznych. Możemy bowiem przez jakiś czas żyć z wysokim zadłużeniem, ale powoduje ono poważne

negatywne konsekwencje. Najpierw są niezauważalne dla indywidualnych osób, ale z czasem mają coraz poważniejsze znaczenie dla ich budżetów.

W połowie września br. agencja ratingowa Moody's obniżyła długoterminowy rating (czyli ocenę wiarygodności kredytowej) Polski o jedną kategorię wyceny aktywów. Wcześniej uczyniły to dwie inne liczące się agencje. Będziemy musieli sprzedawać nasze obligacje na wyższy procent, czyli będziemy musieli zobowiązać się, że wykupimy je na jeszcze wyższy procent niż dotąd. Sprzedając obligacje skarbowe, nasze państwo zaciąga dług, płacąc znacznie wyższe odsetki niż Niemcy czy Czesi. Coraz większa część z kolejnej puli sprzedanych obligacji idzie na spłatę tych odsetek, a to nakręca spiralę długu publicznego. W konsekwencji rosną rynkowe stopy procentowe. Pieniądz staje się droższy dla każdego pożyczającego. Zarabiają ci, którzy udzielają kredytu.

Jeśli kredyt będzie droższy, to najpierw przedsiębiorcy, a potem osoby indywidualne będą mniej inwestować za pożyczone pieniądze. I to jest pierwszy moment, w którym warto pomyśleć, jak dług – choć wielu przekonuje nas, że jest tylko zapisem księgowym – rodzi realne konsekwencje dla gospodarstw domowych, przedsiębiorstw oraz wszelkich innych organizacji. Poprzez rosnącą cenę pieniądza (stopy procentowe) dokonuje się transfer długu państwa do obywateli. Osłabia to dynamikę inwestycji prywatnych, a z czasem dynamikę wzrostu gospodarczego.

Wysoki dług publiczny jest transferowany do gospodarstw domowych i przedsiębiorstw drogą rosnącej inflacji. W konsekwencji, mając te same dochody, mamy realnie mniej na konsumpcję, oszczędzanie i inwestowanie. Bronimy się przed tym, oczekując wyższego wynagrodzenia i wyższych cen za nasze produkty i usługi. Taka reakcja, która jest naturalnym odruchem, nakręca spiralę inflacyjną. Drożyzna to inne oblicze wysokiego długu publicznego. Środo-wisko inflacyjne destabilizuje gospodarkę i zniechęca do inwestowania, co prowadzi do obniżenia dynamiki wzrostu gospodarczego, a następnie potencjału wytwórczego kraju.

Jeśli więc ktoś twierdzi, że wysoki dług publiczny pozostaje bez konsekwencji dla codziennego życia, mówi nieprawdę. Nie ma wysokiego długu, który by nie rodził negatywnych następstw. Polegają one na nieuchronnym transferze długu państwa do wytwórców i gospodarstw domowych. W krótkim czasie są słabo odczuwalne (tym bardziej kiedy koniunktura jest dobra), ale w długim – trudne do cofnięcia.

Odpowiedzią na wysoki i dynamicznie rosnący dług publiczny (jeśli nie chcemy utracić nad nim kontroli) powinien być wiarygodny program konsolidacji finansów publicznych, czyli stopniowego równoważenia wydatków i dochodów państwa. W jakiej sekwencji, w jakim czasie, z jaką strukturą – wszystko jest do dyskusji, zastanowienia, opracowania i wdrożenia. To nie jest łatwe, ale konieczne.

Wysoki deficyt budżetowy krótkookresowo pobudza wzrost gospodarczy. Tak jest obecnie w Polsce. Doceniajmy nasz wysoki wzrost gospodarczy, to nasza tarcza wobec zewnętrznych napięć i zagrożeń. Uwzględniając jednak i to, że wysoka dynamika długu publicznego z czasem spowoduje obniżenie potencjału wytwórczego i – do tej pory – korzystnej dynamiki wzrostu. Dług publiczny nie jest złem; jest uzasadniony i konieczny dopóty, dopóki jego finansowanie nie prowadzi do sytuacji, gdy wydając coraz więcej, zapożyczamy się coraz bardziej. Aż do utraty kontroli.

Wybory w Krakowie

Walka o fotel prezydenta Królewskiego Stołecznego Miasta Krakowa weszła w decydującą fazę. Ogłoszenia wiszą, sztaby dokonują nerwowo ostatnich wysiłków, aby dotrzeć do wyborców, a Krakowianie spokojnie, bez emocji, przygotowują dowody osobiste i długopisy. Spokojnie i bez emocji, bo przecież wiadomo, że zmieni się niewiele, więc wszyscy będą zadowoleni. Zarówno ci, którzy chcą zmian, jak i ci, którzy chcą, aby zostało po staremu.

Kampania wyborcza była mało atrakcyjna, żeby nie powiedzieć – nudna. Nic dziwnego, bo co nowego można powiedzieć w Krakowie, gdzie od lat słyszymy stały refren o konieczności obalenia kliki rządzącej miastem? Może to ważne dla ludzi aspirujących do władzy w mieście, ale przecież przeciętnego Krakowianina interesuje przede wszystkim, jak działa komunikacja i czy regularnie wywożone są śmieci.

A kliki w Krakowie (prawdziwe lub wymyślone) były, są i zawsze będą. Pisaliśmy już o tym dwa lata temu, cytując wiersz sprzed ponad wieku. Jak się okazuje, stale aktualny:

KLIKA I MIOTŁA

Losy Krakowa miasta,
Starego weredyka,
Trzyma za łeb niewiasta,
Któręj na imię: Klika.
Pani ta, gładka jak zmija,
Gdy widzi, że postać czyja
Z innej, a nie z jej fabryki,
Natychmiast żądłem wywoja;
I syczy: on nie jest z Kliki,
I syczy: on nie jest z Kliki.

Owóż, jakoś się zdarza,
Że do miasta zagnaty
Losy, na dygnitarza,
Męża postronnej chwały.
Na to Klika wnet powstanie,
I rozpoczyna pętanie,
Zmowy, podziemne praktyki,
I świątobliwe wołanie:
Kęsać go! bo on nie z Kliki!
Kęsać go! bo on nie z Kliki!

Gdy ten koncert słodki
Grano dla Boskiej chwały,
Gdy przez brzydkie dewotki
Pierwsze puszczono strzały;
Klika, na rannego zwierza,
Ostateczny cios wymierza;
Wie, z uświęconej taktyki,
Że już czas palnąć z moździerza
Na tego, który nie z Kliki,
Na tego, który nie z Kliki.

I owo czarna wiecha,
Zacnej Kliki cyrulik,
„Czas” stary, szpetny klecha,
Drukuje artykułik.
A choć słodkich słów dobiera,
To przecie każda litera;
Tę bogobojnej krytyki,
Jedną tylko myśl zawiera:
Wygryźć go! bo on nie z Kliki!
Wygryźć go! bo on nie z Kliki!

Co dalej? mniejsza o to;
Przecież nie koniec świata;
Toć i najtęższe błoto
Miotła nareszcie zmiata.
Do czasu dzban nosi wodę,
Do czasu wilk czyni szkodę,
Nastanie pora logiki,
Rozum z miastem zawarł zgodę;
I – miotła dotknie się Kliki,
I – miotła dotknie się Kliki.

W kampanii pojawiły się też standardowe narzekania na administrację i urzędników. To również nic nowego. Już 80 lat temu niezawodny Mistrz lldelfons stworzył Zieloną Gęś, rozwijającą ten wątek.

Teatrzyk „Zielona Gęś” ma zaszczyt przedstawić
„Trzy metry rury” czyli „Rapsod w Barbakanie”

Komentarz

Rzecz dzieje się w król.-stoł. mieście Krakowie, gdzie poeci stają na głowie. Przez szpareczkę w kurtynie widać Barbakan, czyli Rondel (obecnie najwspanialszy teatr plenerowy Europy). Właśnie idzie widowisko Adama Polewki Igrce w gród wałą, a ponieważ w przeddzień łało, Barbakan, na skutek braku 3-ch (trzech) metrów rury kanalizacyjnej, stoi idealnie pod wodą wraz: z aktorami, Publicznością, orkiestrą i Leniwymi Pierogami Magistrackimi ze Szpadami, vide: Heraklit – „Woda, początek wieków”, Jalu Kurek – „Woda wyżej” i inni.

Akcja:

KURTYNA:

(majestatycznie podnosi się z dołu do góry)

DESZCZ: (znowu leje)

CHÓR LENIWYCH PIEROGÓW MAGISTRACKICH ZE SZPADAMI
(śpiew polifoniczny):

Boże, wspieraj, Boże, ochroń nasz Barbakan i nasz Gród...

SŁAWETNE POSPÓLSTWO (po szyję w wodzie):

O, jakże piękny jest Kraków...

CHÓR LENIWYCH PIEROGÓW MAGISTRACKICH ZE SZPADAMI (c.d.):

bo w tym Rondlu strasznie mokro, przydałby się jaki kanalizacyjny cud.

CUD KANALIZACYJNY:

(w ogóle nie następuje. Woda zalewa Sławetne Pospółstwo, a częściowo i szpady Leniwych Magistrackich Pierogów)

SŁAWETNE POSPÓLSTWO (pod wodą przez nos):

O, jęże bieżny jezd Gragów! O, JĄŻE BIEGNY JEZD GRAGÓW!

OSIOŁEK PORFIRION

(pojawia się ni stąd, ni zowąd z trzema metrami rury kanalizacyjnej):

Wielkie słowa, dużo krzyku,
koturn, patos, rapsod, chór.
Nam – nie tylko Koperników,
lecz i kanalizacyjnych rur.

(zakłada w pocie czoła i uszu trzy metry rury. Woda spływa. Słońce względnie księżyc wschodzi. Igrce w gród wałą. Deszcz nie leje)

LENIWE PIEROGI MAGISTRACKIE ZE SZPADAMI:

(leją wobec tego i wałą Osiołka Porfiriona, iżby go ukarać za niezdrowe zachcianki realizatorskie, zachcianki, powtarzam, Panie Redaktorze, które w tak niezdrowy sposób psują ustalone od prawieka kontury zamglonego, mglistego, biurokratycznego pejzażu)

Kurtyna

(majestatycznie opada z góry na dół ze słowami):

„Któż wypowie twoje piękno, Krakowie prastary itd.”

A maskary na Sukiennicach milczą,
bo nie takie rzeczy widziały...

Tęsknota za skompromitowaną przeszłością

Już dawno nie czytałem w PAUzie Akademickiej tekstu, z którym nie zgadzałbym się tak bardzo, jak z artykułem Walentego Ostasiewicza pt. *Jurgielizm akademicki* (PAUza 785). Jego autor sugeruje, że w czasach tzw. realnego socjalizmu uniwersytety w Polsce miały bardziej humboldtowski charakter i były bardziej wolne niż obecnie. Te twierdzenia są po prostu nie do obrony. Co prawda w matematyce, którą reprezentuje autor, nie ograniczano wolności badań, ale już w ekonomii, do której się wielokrotnie odwołuje w swoim tekście, sytuacja była diametralnie różna. Pamiętam, jak w tamtych czasach, stojąc w całonocnej kolejce przed sklepem mięsnym, czytałem podręcznik ekonomii politycznej socjalizmu, w którym przekonywano o jej wyższości nad ekonomią kapitalistyczną. Próby jawnego kontestowania tych bzdurnych teorii na ówczesnych uniwersytetach były mocno ryzykowne.

Walenty Ostasiewicz praprzyczynę zrujnowania fundamentów uniwersytetu widzi w przyjęciu systemu bolońskiego. Najwyraźniej autor nie wie, o czym pisze. System boloński nie ograniczył w żadnym wypadku wolności badań naukowych, a jedynie wprowadził ujednolicony, trzystopniowy podział studiów i standardowy system zaliczania przedmiotów. Ułatwia to porównywanie kwalifikacji absolwentów z różnych uczelni i krajów oraz pozwala na uznawanie dyplomów w skali międzynarodowej. To zaś z kolei znacznie zwiększa mobilność studentów, nauczycieli akademickich oraz pracowników instytucji i przedsiębiorstw. Wprowadzenie systemu bolońskiego nie jest zresztą bezwzględnie obowiązkowe, z czego, ze swoją szkodą, korzystają niektóre polskie uczelnie. Niedawno żaliło mi się bardzo uzdolnione dziecko znajomych, że po uzyskaniu dyplomu licencjata z psychologii w prestiżowej brytyjskiej uczelni nie mogło odbyć studiów magisterskich na tym samym kierunku na Uniwersytecie Jagiellońskim, ponieważ uczelnia ta oferuje wyłącznie jednolite studia pięcioletnie, niekompatybilne z procesem bolońskim.

Bardzo dyskusyjne jest także twierdzenie autora omawianego tekstu, jakoby nasze uniwersytety usługiwały „obec i w dodatku imperialnej kulturze korporacyjnej” czy zastępowały język naukowy żargonem korporacyjnym. Czyżby autorowi przeszkadzały próby, nie zawsze konsekwentne, wprowadzania elementów nowoczesnych metod zarządzania i gospodarowania zasobami w wielkich niekiedy instytucjach, jakimi są uniwersytety? Co do żargonu używanego przez niektórych naszych naukowców, to jest to szerszy problem, ale raczej wynikający ze sła-

bości intelektualnej konkretnych osób niż z jakichkolwiek zewnętrznych nacisków.

Walenty Ostasiewicz szafuje w swoim tekście wielkimi kwantifikatorami. Sugeruje, że wszelkie prace powstające obecnie na uniwersytetach są bezwartościowe. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że znaczny procent prac publikowanych przez pracujących w Polsce naukowców jest słabych jakościowo, a niektóre z nich nie mają jakiegokolwiek wartości, ale są też prace bardzo solidne, a niekiedy także wybitne. Autor kategorycznie stwierdza, że „firmy zatrudniające własnych ekspertów [...] z całą pewnością nie sięgną do monografii opublikowanej na uniwersytecie”, zapominając, że ktoś tych ekspertów musiał wykształcić oraz dostarczać im aktualną wiedzę. Niezależnie od tego, że w wielu firmach badania naukowe są także prowadzone wewnętrznie.

Oburzenie autora na to, że firmy ubezpieczeniowe szacują ryzyka, jest zupełnie zadziwiające. Jako specjalista od statystyki musi znać matematyczny termin: „pozostały oczekiwany czas życia”, który wywodzi się wprost z zapotrzebowania firm ubezpieczeniowych i towarzystw emerytalnych. Brak rzetelnej oceny ryzyka przez firmy ubezpieczeniowe skutkowałaby albo ich bankructwem, albo drastycznym podniesieniem stawek ubezpieczeniowych znacznej części ubezpieczonych.

Walentemu Ostasiewiczowi przeszkadzają także ułatwienia dla seniorów i związany z tym rynek produktów. Ja osobiście chwalebę sobie wspomniany przez niego „czajnik z samoczynnym wyłącznikiem”. Zupełnie kuriozalna jest krytyka wolnego rynku i edukowania ekonomicznego dzieci. Jeżeli chodzi o to pierwsze, to dostatecznie długo żyłem w kraju, w którym tego rynku nie było (gdzie był wtedy autor dyskutowanego tekstu?), by zupełnie nie tęsknić za realnym socjalizmem, a doceniać zalety gospodarki rynkowej, niezależnie od jej różnych słabości. Co do edukacji ekonomicznej dzieci, to uważam, że jest ona zdecydowanie zbyt słaba. Dziwimy się potem, że wielu młodych ludzi nie widzi związku między świadczeniami socjalnymi a podatkami, wierzy, że rząd może dowolnie kształtować płace i ceny, czy ulega politycznym hochsztaplerom obiecującym wszystkim złote góry.

W dyskutowanym tekście są i inne stwierdzenia, które wydają mi się zupełnie nietrafione, chociaż niekiedy polemika z nimi wymagałaby dłuższych uzasadnień. Tym, co najbardziej mnie niepokoi, nie jest wypowiedź jednej osoby, z którą się zupełnie nie zgadzam, ale to, że podobne poglądy ma w Polsce więcej osób, w tym wykształconych, podobnie jak autor dyskutowanego tekstu.

ANDRZEJ JAJSZCZYK

PLATFORMA WYMIANY NAUKOWEJ PAU

PAUza Akademicka – www.pauza.krakow.pl – tygodnik Polskiej Akademii Umiejętności i środowiska naukowego.

Rada Redakcyjna: Magdalena Bajer, Andrzej Białas, Janusz Limon, Ewa Lipska, Piotr Sztompka, Marta Wyka, Jakub Zakrzewski.

Redakcja: Andrzej Białas – redaktor naczelny; Andrzej Borowski, Piotr Malecki, Marian Nowy – redaktorzy;

Adam Korpak, Krzysztof Skórczewski – grafika; Anna Michalewicz – dyrektor administracyjny;
Witold Brzozkowski, Monika Mentel – fotokład; Wydawnictwo PAU – konsultacje.

Adres do korespondencji: Polska Akademia Umiejętności, 31-016 Kraków, ul. Sławkowska 17; e-mail: pauza@pau.krakow.pl

Oczekujemy na artykuły do 6 000 znaków (ze spacjami) i ilustracje w formacie JPEG o rozdzielczości 300 dpi.

Bezpłatna subskrypcja